

Teatr z płyty

O tym spektaklu słyszałem wiele dobrego. Premiera w ruinach Teatru Miejskiego w Gliwicach w czerwcu 2006 roku spotkała się z bardzo życzliwym przyjęciem (m.in. nagroda Złotej Maski w kategorii Spektakl Roku), a debiut operowy jednego z ciekawszych polskich reżyserów teatralnych – Pawła Szkotaka – odbił się szerokim echem w prasie. Wydawało się nawet, że polski teatr operowy zyska kolejnego atrakcyjnego twórcę (niedługo potem Szkotak, dyrektor poznańskiego Teatru Polskiego, zrealizował w tamtejszym Teatrze Wielkim Stiffelia Verdiego – pusto, bez wdzięku i emocji, nieudanie).

Wróćmy do Carmen. Siła tego spektaklu – na płycie i, jak sądzę, na żywo – tkwi w scenerii. Ekspresyjna przestrzeń ruin gliwickiego Teatru Miejskiego sama w sobie jest nośnikiem emocji i znaczeń – odrapana cegła pełna rysunków i graffiti, w swej surowości i brudzie aż piękna. Paweł Szkotak, twórca istniejącego od dwudziestu lat teatru Biuro Podróży (jednego z najciekawszych zjawisk polskiej sceny alternatywnej, nagradzanego na festiwalach, znanego i cenionego w świecie), wie, co zrobić, by taką przestrzeń uruchomić, pozwolić jej zaistnieć, żyć. Tym bardziej że ma świetną partnerkę – wykonującą tytułową partię Małgorzatę Walewską.

Walewska wydaje się w swoim żywiole. Namiętna, żywiołowa, pełna pasji, jednocześnie od pierwszych dźwięków z jakimś cieniem w oczach, smutkiem, nostalgią, które pogłębiają postać, czyniąc ją prawdziwie ludzką. Tylko jeden

element nie pozwala śpiewaczce stworzyć pełnej, całkowicie przekonującej kreacji – kostiumy i peruka. Jakby niedopasowane do ciała, zbyt duże, zbyt ciężkie, nieprzyjemne, nie podkreślające charakteru postaci – przecież Carmen musi (tak, musi!) być cała erotyczna, gorąca, od stóp do głów, od obcasa po głos.

Bardzo ciekawie otwiera się drugi akt, kiedy aktorzy teatru lalkowego zabawiają gości w knajpie. Jest gwarno, tłumnie, duszno, a na stołach ustawionych w półkołach dwaj mężczyźni w takt muzyki i za pomocą dwóch animowanych sznurami lalek antycypują historię Carmen: oto kobieta i mężczyzna, wyraźnie sobą zainteresowani, coraz bliżsi sobie, ale nagle on dźga ją nożem, ostro, boleśnie, śmiertelnie. Carmen podchodzi do stołu, bierze na ręce lalkę-kobietę i tuli mocno do siebie...

W postać Don José wciela się Włoch Marcello Bedoni, obdarzony ładnym, miękkim tenorem, ale kiepski aktor-sko. Don José w jego wykonaniu jest nie tylko uzupełnieniem głównej roli, jej cieniem, ale wyraźnie prowadzi swoją własną, równie ważną historię. Wyraźnie młodszy, niewinny, idzie za głosem emocji, burzą uczuć, zostawiając w tyle teraźniejszość (miłość Micaeli), obowiązek (służba żołnierska), honor. Poddaje się emocjom, staje się coraz bardziej porywczy, nieopanowany. Widać to choćby w drugim akcie, kiedy Carmen wścicka się, że José chce wrócić na apel do swojego oddziału. On nagle chwyta ją mocno, brutalnie, chcąc pokazać, kto tu rządzi. Ona patrzy na niego w strachu, ale i w oczekiwaniu tego, co się stanie. Jakby prowokowała los... To bardzo ładny element interpretacji. Mocny. Prawdziwy.

Jeszcze trzeci akt. Już w instrumentalnym wstępie (ciekawawe wrażenie robi bliskie ujęcie instrumentów) czujemy narastające napięcie. Szkotak przeniósł akcję na początek dyktatury generała Franco, czas konspiracji i życia w ucisku. Tłum postaci w ciemnych kostiumach, z kaganekami w ręku, schodzi z galerii po schodach, przechodzi przez plac-ulicę (widać policyjne plakaty z podobiznami Carmen i Josého z napisami „Vivo o muerto. El premio”) i staje z boku. Na galerii pojawia się grupa cyganów, wśród nich główni bohaterowie.

Jest półmrok, przestrzeń skąpana jest w mlecznych światłach i dymie. Słychać karciany tercet (z ładnie brzmiącymi głosami Anity Maszczyk – Frasquity i Magdaleny Wilczyńskiej-Goś – Mercedes), zakończony przejmującym śpiewem Carmen. Walewska – w czarnym berecie, ciemnym płaszczu z czerwonym szalem (wreszcie dobrze ubrana) – umiejętnie stopniuje napięcie, jakby przeczuwając tragiczny koniec.

Wchodzi Micaela (Małgorzata Długosz), ciągle w niebieskim kostiumie (tak opisuje ją libretto już w pierwszym akcie), i w samotności śpiewa swoją pieśń. Dalej Escamillo (Rafał Songan), który przyznaje się Josému, po co przyszedł i kogo szuka, czym ściąga na siebie niebezpieczeństwo (w walce na noże Escamillo zawija swój płaszcz na rękę niczym płachtę na byka).

I finał (akt czwarty). Dużo tu akcji i ruchu, działania się, niby chaotycznego, jak żonglerka pomarańczami, podnoszenie wielkiej kuli czy zabawy z ogniem ulicznego artysty, ale podsycającego napięcie. Wiele tu kolorów, dynamiki. Wszystko na miejscu, niezbędne, nieprzesadzone.

Wreszcie scena zabójstwa Carmen. Ona na szczycie schodów, na tle wściekle czerwonej zasłony, w czerwonej sukni i czarnym woalu na głowie. José w czarnej skórze, z nagim torsem i czerwonym paskiem. Ona gotowa, czekająca na śmierć, pragnąca jej, on nie umiejący jej zadać, żebrzący o miłość, nudny. Aż dziwne, że Szkotakowi tak bardzo nie udało się wykrzesać nic ze Stiffelia, skoro tu tak ciekawie buduje napięcia (wykorzystując np. w scenie walki byków, z udziałem kuglarza na szczudłach z drucianym rowerem-bykiem, swoje doświadczenie w pracy w teatrze ulicznym).

W gliwickiej Carmen narzekać można jedynie na zbyt jednowymiarowe prowadzenie muzyki przez Tomasza Biernackiego. Za mało tu odcieni, kolorów, dbałości o detale. Oczywiście to, co sprzyja inscenizacji, nie koniecznie pomaga muzyce. Ogromna przestrzeń sprawia, że orkiestra stoi z boku, śpiewacy nie zawsze widzą dyrygenta, a to odbija się na rytmie muzyki i często jest przyczyną nierówności i nieczystego brzmienia. Ale nie narzekajmy już. Spektakl ma interesującą dynamikę, jest niezłe filmowany i zmontowany. Carmen znaczy przecież niebezpieczeństwo...

 **TOMASZ CYZ**

BIZET

Carmen, dyr. **Tomasz Biernacki**; reż. **Paweł Szkotak**
Gliwicki Teatr Muzyczny (2008)